№ 21. Warszawa, dnia 11 (23) Maja 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Stanowisko prawne i towarzyskie średniowiecznej niewiasty germańskiej. — Trzy pocałunki (wiersz). — Klemens Janicki, opowiadanie historyczne, przez Michała Jezierskiego (dalszy ciąg) —Dyoniza (dramat) (dal. c.). — Z pod naszej strzechy. — Pod starym dębem (wiersz). — Wiadomości z kraju. — Wiadomości z zagranicy.

STANOWISKO PRAWNE I TOWARZYSKIE

ŚREDNIOWIECZNEJ NIEWIASTY GERMAŃSKIEJ.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

Wiadomo, że rycerze średniowieczni nie lubili pióra, przenosząc nad nie miecz. Naukę pisania i czytania nazywał dawny wojownik „zabawką” słabych i dlatego kształcił w tym kierunku tylko swe córki, lub tych ze swych synów, których przeznaczał do stanu duchownego. Nawet słynni owego czasu poeci, jak: Wolfram z Eschenbach i Ulrych z Lichtenstein, dyktowali swe epopee i pieśni sekretarzom, gdyż sami pisać nie umieli. Gdy królowa Amalaswint, wielkiego Teodoryka światła córa, chciała syna swego oddać pod nadzór gramatyków, wtedy wysłał do niej naród deputacyą z prośbą, aby zaniechała dla królewicza wychowania niewieściego, gdyż nauka osłabia ramię mężczyzny.

Za to odbierały kobiety daleko staranniejsze wykształcenie w naszem dzisiejszem rozumieniu. Zrazu chowały się dziewczęta szlacheckie (o mieszczańskich i chłopskich nie posiadamy świadectw historycznych), przy boku matek, a w towarzystwie niewolnych rówiennic, które odbierały w dzień chrztu, razem z inemi podarunkami, od rodziców lub krewnych.

Już wówczas bawiły się malutkie córeczki rycerzów niemieckich lalkami, zwanemi „*Tocke*”, później „*Puppe*” (od łacińskiego *puppa*, lub francuzkiego „*pouppée*”).

Gdy doszły do siódmego roku życia, przechodziły pod opiekę ochmistrzyń i nauczycielów, zupełnie tak samo, jak dziś.

Czynność „guwernerów” pełnili przy dziewczętach pochodzenia szlacheckiego: księża świeccy, zakonnicy i wędrowni muzykanci. Księża uczyli je: pisania, czytania i języków, a wędrowni muzykanci grania na flecie i cytrze. Oprócz tego wchodziła t. z. „moralność„ (*Moralität*) w program lekcyi, czyli właściwie ogłada salonowa, jakbyśmy dziś powiedzieli. Robót ręcznych, gospodarstwa domowego i sztuki kucharskiej, uczyły się dziewczęta od matek.

W ten sposób chowane, przewyższały oczywiście kobiety średniowieczne wykształceniem umysłowem swych ojców, braci i mężów, którzy oprócz sztuki wojowania prawie nic nie znali.

Opowiada Terty, że już wówczas, kiedy jeszcze żaden z rycerzów nie umiał czytać, modliły się kobiety na książkach. Wiadomo, że najstarsza córka Karola Wielkiego, Hruodthrud, mówiła biegle po grecku, a Jadwiga, córka Henryka I Bawarkiego, władała oprócz tego językiem łacińskim. Z połową XIII w. uczyły się szlachcianki niemieckie także po francuzku.

Mimo to nie zrównało stare prawo germańskie niewiast z mężczyznami.

Prawodawstwo starożytnych niemców wychodziło z tej zasady, że pełne prawa należą się tylko temu, kto może spełniać wszystkie obowiązki obywatelskie. Praw tych odmówiło więc kobiecie, nie dosiadającej konia z bronią w ręku.

Dziewczyna germańska zostawała pod bezpośrednią władzą ojca, a gdy rodzica nie stało, zastępował go stryj, wuj, brat, lub ktośkolwiek inny, ustanowiony przez gminę. Bez woli i wiedzy tego opiekuna nie mogła iść za mąż; on stawał za nią przed sądami, skarżąc lub odpowiadając w jej imieniu. Wszelkie zakupna i sprzedaże, zawarte bez pozwolenia męzkiego zastępcy nie miały mocy prawnej. Opieka ta ustawała dopiero z chwilą zamążpójścia.

Daleko większe znaczenie, aniżeli dziś, miał w czasach średniowiecznych obrzęd zaręczyn, który odbywał się publicznie i uroczyście. Krewni, przyjaciele i sąsiedzi zbierali się zwykle pod gołem niebem, tworząc koło w które wprowadzano narzeczonych. Opiekun przystępował do młodej pary, pytał: czy chce zawrzeć śluby małżeńskie, a gdy odebrał od obojga odpowiedź potwierdzającą, wkładał na palce ich pierścionki i pozwalał im pocałować się przed całem towarzystwem.

W ten sposób dokonane zaręczyny obowiązywały obiedwie strony przez dwa lata. W czasie tym

nie wolno było nikomu nowych zawrzéć stosunków, bo prawo karało złamanie danego słowa bardzo surowo, miejscami nawet, jak u Longobardów i Wizygotów na równi z wiarołomstwem małżeńskiem.

Tradycya wielkiego znaczenia zaręczyn przechowała się dotąd u potomków dawnych Germanów. I dziś uważa się narzeczona niemiecka za własność swego przyszłego męża. Podróżuje z nim razem, składa wizyty bez nadzoru matki lub innej osoby starszej i odbywa z nim dalsze przechadzki, co nikogo nie dziwi.

Z chwilą dokonania obrządku ślubnego, który odbywał się wspaniale, ustawała opieka ojca, stryja, lub brata, bo młoda żona stawała się odtąd pierwszą sługą swego męża i pana. Panem bo rzeczywiście był pierwotny germanin swej połowicy.

Wolno było mężowi przekazać żonę swą testamentem komu tylko zechciał, lub nawet sprzedać. Umierający na polu bitwy, Skald Bardr, darowuje małżonkę swą Sigrid, swemu przyjacielowi Thorolfowi; tak samo czyni wielu innych: Islandczyk Thorgils oddaje żonę „na pamiątkę" Thorsteinowi, a Fryzowie, gdy nie mieli czem pokryć kontrybucyi, nałożonej na nich przez Orususa, pokryli ze sprzedaży swych niewiast koszta wojenne.

Z powyższych danych nie trudno się domyśléć, że towarzyskie i prawne stanowisko niewiast germańskich z pierwszej połowy wieków średnich pozostawiało wiele do życzenia. Nie było ono wcale tak wysokie, jak się zdawało Tacytowi, a za nim historykom kobiety niemieckiej, mianowicie: Jungowi, Mundtowi, a nawet Scherrowi.

Jedyny Weinhold zbadał przedmiot ten sumiennie i oświetlił go właściwie.

Stosunki te zmieniają się dopiero po wojnach krzyżowych, od których się cywilizacya niemiecka na dobre zaczyna.

Syn szumiących lasów i dzikich, barbarzyńskich jeszcze obyczajów wychowaniec, spieszy ochotnik germański na daleki Wschód, aby walczyć przy grobie swego nowego Boga. Obok niego potyka się w tym samym szeregu także krzyżowiec angielski i francuzki, a ten przewyższa go ogładą towarzyską i wykształceniem.

Ochotnik niemiecki jedzie oprócz tego przez bogate, cywilizowane kraje cesarstwa greckiego i kształci się na każdym kroku, bo widzi codziennie nieznane mu dawniej cuda. On leży w domu na skórze niedźwiedziej, a tu spoczywają ludzie na drogich, jedwabnych wysłaniach; on pije w swych ponurych „hallach" piwo z rogów bawolich, a mieszkańcy Wschodu biesiadują wytwornie przy śpiewie i graniu biegłych muzykantów.

Niemiec uczy się ciągle. Wraca do domu nietylko uszlachetniony walką za ideę niesamolubną, lecz więcej ogładzony i wykształceńszy.

W obozie, przy ognisku, nasłuchał się dużo pieśni miłosnych i opowiadań o romansach rycerzów prowansalskich. O uszy jego obiły się powieści o królu Artiurze i jego rycerzach, o szlachetnym Rolandzie i walecznym Żwajnie. Walcząc za wiarę, oczyszcza się, podnosi, pozbywa się skorupy barbarzyńca. Poszedł na Wschód dzikim wojownikiem a wrócił rycerzem.

Właściwe pożytki stanu rycerskiego giną w mrokach czasów przedhistorycznych. Już przed wojnami krzyżowemi kiełkował w ludach germańskich osobny stan wojowników, lecz dopiero Krucyaty nadały nowej kaście zwarte formy. Część starożytnych obyczajów, dopełniona resztkami cywilizacyi rzymskiej i garścią świeżych pojęć Chrześcijaństwa, a zabarwiona jaskrawemi kolorami bujnej wyobraźni dziecięcych ludów, stworzyła stan, który nazywamy rycerstwem średniowiecznem.

Już przy końcu XII stulecia był on odrębną warstwą, własnemi rządzącą się prawami.

Istoty rycerstwa średniowiecznego w czasie jego rozkwitu, określi najlepiej ówczesny poeta, Wolfram z Eschenbach, gdy włożył w usta starego Gurnenanca następną radę, daną młodemu Parsiwalowi.

Przedewszystkiem pamiętajcie—prawi doświadczony rycerz do swego ucznia — że prawemu rycerzowi nie wolno się nigdy rozebrać z sukni: czystości, wstydu i uczciwości. Nie zapominajcie nigdy o miłosierdziu i o wspaniałomyślności, bo im kto wyżej stoi, powinien się tem większemi odznaczać zaletami. Nie odmawiajcie nigdy pomocy, gdy się do was zgłosi ubogi, sponiewierany, potrzebujący, lub prześladowany; bo kto ukoi troskę smutnego, a głód ubogiego zaspokoi, temu wynagrodzi kiedyś łaska boża. Zachowujcie zawsze miarę tak w rozdawaniu, jak w braniu, nie jest bowiem mędrcem, kto bez myśli swe mienie rozrzuca, a szlachetnym, kto bez zasługi bierze. Nie znoście obelżywych słów, nie pomijajcie obrazy milczeniem, lecz niech miłosierdzie mieczem waszym rządzi. Gdy zwyciężony przez was, będzie was błagał o życie, przebaczcie mu, chociażby was najwięcej obraził, bo godziwą rzeczą, aby serce rycerza było wspaniałomyślne a nie mściwe. Bądźcie w domu u siebie, grzecznym i miłym, starajcie się pozyskać przyjaźń niewiast, bo miłość osładza twardy żywot rycerza. Szanujcie kobietę, która jest słońcem domowego pożycia. Jak się dzień bez słońca obyć nie może, tak nie dozna mężczyzna szczęścia bez niewiasty. Z jednego oni bowiem ziarna wykwitają...

Takie rady dał stary Gurnenane na drogę młodemu Parsiwalowi. Zawierają one wszystko w co rycerstwo wierzyło, co wyznawało i wykonywało.

(Dokończenie nastąpi.)

TRZY POCAŁUNKI.

Dla matki byłem życia ideałem:
Cierpieniem—szczęściem—łzą—uśmiechem jasnym—
Kochała grzesznie, bo na ślepo — z szałem —
Cierń z pod stóp syna, choć spokojem własnym,
Usunąć zdolna!

W życiu przeszła klęski
Wielkie i burze co wątlą, nie — kruszą,
A jeśli z prób tych duch jej wstał zwycięzki,
To, że kochała mnie... i całą duszą.

Więc cóż dziwnego, że na dziecka lice,
Grad pocałunków spadał w każdej porze,
Że nad uśpionem, jak anioły boże,
Czuwały dwie jej oczu błyskawice?

Ah, te pieszczoty spowszedniały potem,
Stały się chlebem zwykłym — bez ponęty...
Jako rozrzutnik, nawykły siać złotem,
Lekceważyłem pocałunek święty.

* * *

Raz, gdy jak ptaszę, byłem na wylocie,
Błękit się nieba chmur pokrył gromadą;
Huragan szalał jak w kniei, a krocie
Gromów, serc naszych rozbijały tarcze,
I po nad ziemią spłakaną i bladą,
Snuły się widma zawistne — potwarcze.

Ja, cały w jutrze, sercem młodocianem,
Chciałem wykrzesać iskry z płyt granitu!
Karzeł, na chwilę, zachciał być Tytanem,
Lub szłem frunąć aż tam, do nieb szczytu.

. . . .

Burza ucichła — z drzew zostały szczątki,
A z latorośli ledwie jakieś ślady.
W chaosie, krwawe po gromach pamiątki,
Jak groby w bluszczu, strojne w łez kaskady.

. . . .

W świat szedłem... pomnę, któż boleść wypowie?
U stóp jedynej uklękłem macierzy —
Drżące jej ręce czułem na mej głowie,
I łzę co dotąd na sercu mi leży.

„Nie splam się!" — rzekła — „niech piersi ni
[pognie
„Ci świat... ja wolę byś padł w zawierusze,
„Niż-byś zagasić miał te święte ognie
„Znicza strzech naszych, lub zaprzedać duszę.

„Bóg z tobą!...
Ja tu modlę się i płaczę,
„A tarcz ci daję do dalekich stanic:
„Jak Grecy słońce — żyją w niej rozpacze
„Matki i miłość szalona — bez granic —

„Mój pocałunek!..."
Dotąd twarz mi pali;
A choć zaznałem ciernia i manowca
W życiu — on, jako kask okuty ze stali,
Na poły z krzyżem strzegł czoła wędrowca.

Nieraz, bywało, gdym złamany ciałem,
Miał upaść... nieraz też, z duchem w rozterce,
Gdy już pryskało mi na kęsy serce,
Ten pocałunek tworzył rozbrat z szałem.

. . . .

* * *

Drugi... rozkoszny niemniej — niemniej drogi...
Ona go sama złożyła na usta,
Na pół w łzach tonąc a na pół snów pusta,
Gdy miały w świat się rozejść nasze drogi.

Miał mi o lepszem jutrze coś wywróżyć
I strzedz od innych, nieszczerych — na żarty—
W życiu, jak gwiazda w pustyni posłużyć —
Dać sny czarowne i urok niestarty.

Szedłem odważnie z nim, szczęsny i dumny,
Jak rycerz w szranki z przyłbicą zakrytą.
Na moich ustach miał przetrwać do trumny,
Złocić wspomnieniem wszystkie serca karty...

. . . .

Lecz cóż... mnie serce zawcześnie rozbito!!

* * *

Trzeci...
Ah, nad nim mogiła się zwarła,
Teraz w cyprysach, liliami się bieli.

. . . .

Ta, co w miłości tak świętej umarła,
Że ją unieśli na skrzydłach anieli —
Z pół otwartemi próżno śniła usty,
Że syn powróci... że go ujrzy przecie...

. . . .

Dziś, pełen życia świat, jest dla mnie pusty
Niebo blask traci, choć lśni w pełni słońca —
I jakoś dziwnie smutno mi na świecie,
I życie długie... bez końca — bez końca!

Zygmunt Grabowski.

KLEMENS JANICKI.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg.)

Zastał wojewodę w wesołem usposobieniu, po kilku żartach i danych rozkazach, gdy pan Kmita chciał opuścić komnatę, p. Wydżga zatrzymując go rzekł:

— Chciałbym w jednej ważnej sprawie pomówić z p. wojewodą.

— Mów, poczciwy rotmistrzu — odrzekł Kmita — jeśli idzie o jakąś protekcyą, poprę całem sercem twoje żądanie.

— Nie śmiałbym nadużywać łaski p. wojewody. Nie jest-to sprawa osobista, lecz ważna, bo dotyka obyczajów, moralności i przywilejów naszego narodu.

— Mów więc, rotmistrzu, przed interesem kraju, wszystkie prywatne ustąpić muszą.

— Są to słowa prawdziwego męża stanu. Wychodzę tu, wojewodo, z atrybutów mego urzędu na jego dworze, lecz jako brat szlachcic, do starszego brata przemawiam.

— Cóż to za ważna publiczna sprawa, czy ułożyłeś jaki strategiczny plan zdobycia Smoleńska?

— Nie, mości wojewodo, nie idzie o zdobycie, ale o utrzymanie naszych prerogatyw szlacheckich, o kardynalne prawo, o zachowanie tego, co sam Bóg postanowił.

— Wiesz, p. rotmistrzu, jak strzegę przywilejów szlacheckich, wiesz jak obmierzłe są mi tytuły zagraniczne, podkopujące braterstwo szlacheckie, o które niektórzy nasi panowie się ubiegają; zawsze stałem i stać będę, na straży równości szlacheckiej.

— A jednak, mości wojewodo, chcesz osłabić zacność klejnotu szlacheckiego.

— A to jakim sposobem? — zapytał oburzony wojewoda.

— Czy widziałeś, mości wojewodo, aby orzeł łączył się z nietoperzem, a lew z zającem? Prawo Boże podzieliło rodzaje i rozgatunkowało wszystkie stworzenia. Wspak temu naturalnemu prawu krążą po zamku wieści, iż konsensem swoim zezwalasz, wojewodo, aby Klemens ze Znicza, syn rolnika z Januszowa, sięgał o rękę panny Elżbiety Orzelskiej, urodzonej z przezacnego Herburtów domu. Niepraktykowany u nas taki związek, byłby abuzem dotykającym całą korporacyą szlachecką, byłoby to zmienieniem całego ustroju Rzeczypospolitej, czyn taki nie dotyka jedną rodzinę, lecz sprawia oburzenie całej Polski.

Nasępił wojewoda czoło i odrzekł:

— Nasza prześwietna Rzeczpospolita, nie jest Rzeczpospolitą Platońską, gdzie swoboda jednej warstwy, zawisła od niewoli drugiej. W miarę rozszerzania oświaty w ludzie, przywileje nasze muszą być i na nich rozszerzone. Ci co dziś wznieśli się umysłem nad ludową ciemnotę, którzy są świecznikami naszego kraju, będąc uszlachetnieni duchowo i umysłowo, stanowią szlachetną część narodu, zatem sami się wznieśli do szlachectwa. Król i sejm im formalności nadania onego odmówić nie może. Już ci mówiłem, p. rotmistrzu, iż Marycki i Janicki będą szlachtą, a więc o rękę każdej szlachcianki dobijać się mogą.

— Argumentów pana wojewody nie pojmuję. Nie idzie tu o nadanie szlachectwa, które jest wątpliwe, ale o krew, która uzacniona czynami praojców, innem tętnem bije w sercach szlacheckich niż gminu. Trzeba kilka pokoleń, aby uszlachetnić rassę, żaden przywilej w jednej chwili takowe przyobrażenie zdziałać nie może. Bakałarstwo i pisarstwo nie jest godłem szlachectwa. Ofiarność pokoleń krwi i miecza wyrodziła szlachtę, a takiemi przymiotami nie odznacza się p. Klemens ze Znicza, nie ma więc prerogatyw sięgać o rękę przezacnej i świetnej rodziny.

— Jesteś dobrym chrześcianinem, panie rotmistrzu, a niepojmujesz tej prawdy, że wszyscy jesteśmy braćmi w Chrystusie, że wszyscy zarówno jesteśmy przeznaczeni do królestwa niebieskiego; dlaczegóż w naszej Rzeczypospolitej nie bylibyśmy powołani do zaszczytu szlachectwa? dobić się go można również orężem, jak i piórem. Każda rodzina ma swego protoplastę, którego zasługą się szczyci; kto pierwszy z rodu uzyskał szlachectwo, ten oświetla swemi zasługami potomków: cześć cała jemu się należy, a obowiązkiem pokoleń czynami swemi nie zaćmić ten blask zacności tego, który ród cały wyniósł do szlacheckiego zaszczytu. Janicki będzie protoplastą swego rodu. Na polu umysłowem zdobędzie herbową tarczę, która trudem uzyskana, uczuciem i natchnieniem oblana, stanie za materyalną siłę i za krew na polu bitwy wysączoną.

— Daruj, mości wojewodo, ale takie słowa mogą być w ustach Kalimacha, lub podobnych mu humanistów, którzy-by chcieli szlachtę poniżyć; lecz pan Kmita wojewoda krakowski, marszałek wielkokoronny, starosta krakowski, którego szlachta za swego obrońcę poczytuje, inne mieć winien przekonania. Pewny jestem, iż i p. starosta Orzelski zdanie moje podzieli.

— Mój rotmistrzu, masz butę i upór szlachecki, która pragnie swobody zamknąć w jednej kaście: nieprzewidujecie jakie ztąd klęski spaść na kraj nasz mogą. Naszym celem rozszerzać oświatę, otworzyć drogę wszystkim stanom, aby przez zasługi mogła być podniesioną do godności szlacheckiej. Co do pana starosty mam nadzieję, że wpłynąć na niego potrafię, uczucie ojcowskie stłumi przesądy i swego błogosławieństwa nie odmówi. Proszę cię tylko, panie rotmistrzu, abyś o tych zamiarach nie oznajmiał staroście, dopóki uszlachcenie Janickiego nie będzie w naszem ręku. Ja cię o to proszę, spodziewam się, że mej prośby nie odmówisz.

Wiedział Wydżga, że wojewoda niezwykł nikogo o nic prosić, gdy się uciekł do prośby, było to oznaką nieugiętej woli, silniejszą od rozkazu, odmowa była-by zerwaniem dobrych stosunków. Po krótkim namyśle rzekł:

— Milczeć będę przed starostą do sejmu Piotrkowskiego, gdzie się ma odbyć nobilitacya Klemensa ze Znicza, lecz będąc szlachcicem, sądu mego, myślenia i działania się nie zrzekam. Chęci zaś pana wojewody spełnię, na co daję moje *nobile verbum.*

Zachmurzony, ledwo niezrozpaczony wyszedł pan Wydżga z komnaty wojewody. Arcy go poważał, cenił w nim cnoty obywatelskie, widział w nim obrońcę równości szlacheckiej: lecz różnica w zapatrywaniu się na samą dostojność szlachecką krwawiła mu serce i ten spogląd humanitarny wojewody, przypisywał wpływom dwóch plebejuszów: Maryckiego i Janickiego. Sejm Piotrkowski miał rozstrzygnąć o ich losie. Kmita był w łasce u królowej Bony, która wpływ miała na króla; stanąć w opozyi tak silnej protekcyi, było rzeczą arcytrudną, ale zagrożona korporacya szlachecka, wdzieraniem się do niej intruzów, dodawała mu siły i odwagi. Zamyślał więc stanowczo stanąć na przeszkodzie, podburzyć szlachtę i walkę na sejmie rozpocząć.

Takowe wyobrażenia o szlachectwie, urosły za Jana Olbrachta, na sejmie Piotrkowskim 1496 r., który za namową Kalimacha chciał ująć uzyskane swobody szlacheckie. Klęska Bukowińska dała powód do mniemania, iż była przewidzianą i uskutecznioną dla wygubienia szlachty, aby łatwiej przeprowadzić myśl samowładnych rządów. Szlachta dbała o swe swobody, nietroszcząc się już o niższe warstwy społeczeństwa, ratując siebie zamknęła się w swojej kaście, nieprzypuszczając do swego grona plebejuszów. Zawyrokowała na tym sejmie, że wyższe godności duchowne tylko szlachcie rozdawane będą, wzbroniła przystępu stanowi kmiecemu i mieszczańskiemu do ziemskich sądów i dobra ziemskie kupować im wzbroniła. Te ustawy niezgodne z duchem całego naszego ustroju państwowego, podkopując kardynalną zasadę rozszerzania swobody na wszystkie warstwy, zrodziły tę dumę kastową i butę szlachecką, która przez długi czas tamowała rozwój wolnej instytucyi.

Szlachta uzyskując coraz obszerniejsze dla siebie przywileje, oślepiona swoją władzą, zaczęła mieć w pogardzie stan mieszczański i kmiecy, nie dbając o niższe warstwy społeczeństwa, własną później swobodę przemieniła na swawolę.

Do takich pojęć o szlachectwie należał i pan Wydżga i większa część szlachty.

Gdy wszedł do swej izdebki, padł na krzesło i dumając mruczał pod nosem:

— Pierwej byłem obywatelem, niż sługą wojewody, dla niego wierność i posłuszeństwo, dla kraju ofiara z życia i mienia. Jak Wawel góruje nad Wiśniczem, tak sprawa publiczna stoi wyżej nad prywatną. Każdy szlachcic powinien stać na straży uzyskanych przywilejów, obowiązkiem je bronić do ostatniej krwi kropli. Wojewoda jest równym mnie szlachcicem, możemy walczyć z sobą, kiedy więc wojna, to wojna!

Usiadł przy stole i zaczął pisać potężnemi literami; dumał, tarł czoło, przemazywał, darł zapi-

sany papier, brał inny, ale frazesa mu się nie kleiły. Po dwugodzinnem, daremnem usiłowaniu, nie mogąc skleić okólnika do szlachty, wzywając do stania w obronie gotującego się na sejmie Piotrkowskim skandalu, zaklinając ich na miłość ojczyzny, aby niedopuścili zamiarów wojewody, porwał ostatni arkusz, pióro o stół cisnął i powstawszy, rzekł z gniewem:

— Pisanie to rzecz nieszlachecka, zostawmy to księżom lub wartogłowom, jak Janicki lub takim kniuchom jak Marycki. Szlachcic choć się nie wypisze, ale słowem wszystko dokumentnie wypowie, a co nie wypowie to szablą zaargumentuje. Po co to pisanie? Sam pojadę, zgromadzę braci, w imieniu zagrożonej Ojczyzny przemówię; krew szlachecka to nie woda, animusz łatwo zażegnać, a wówczas zobaczymy kto na sejmie Piotrkowskim postawi na swojem, Boże mnie dopomóż! Przeżegnał się i przed obrazem Matki Boskiej odmówił długie pacierze. Gdy skończył, przez okno ujrzał pogasłe światełka w izbach: Janickiego i Maryckiego, pogroziwszy im palcem, padł na łoże i w kilka minut twardy sen skleił mu powieki.

Peregrynka pana Wydżgi.

Nazajutrz, wziąwszy pan Wydżga na miesiąc uwolnienie od służby zamkowej, pod pretekstem zwiedzenia swego mająteczku, wyjechał do dworów i dworków szlacheckich, aby przygotować opozycyą na mającym się odbyć sejmie Piotrkowskim. Najprzód zajechał do Siecina, majętności pana Jakóba Krasickiego. Ród ten choć miał dostojnych antenatów, lecz nie piął się nigdy do koronnych posad; poprzestawali na urzędach wojewódzkich, gorliwie służyli radą i mieczem, nieśli pomoc szlachcie, która czcią ich otaczała, skupiała się koło nich, stanowiła więc siłę, z którą i panowie liczyć się musieli. Byli to prawdziwi ziemianie, przedstawiciele staro-szlacheckiej Rzeczypospolitej. Serdecznym przyjacielem, prawą ręką był sąsiad Drohojewski, od dziada pradziada przyjaźń ich łączyła, chociaż sprzecznych temperamentów, gdyż rozwaga była cechą Krasickich, a energia Drohojewskich, jednak te dwa charaktery, uzupełniając siebie, stanowiły nierozdzielną całość.

Gdy bryka pana Wydżgi stanęła przed obszernym Sienickim dworem, siedzieli właśnie wówczas w ganku pan Krasicki z Drohojewskim przy butelce starego miodu, wiodąc poufną rozmowę. Gdy ujrzeli pana rotmistrza, rzucili się oba wjego objęcia, a serdeczny uścisk, był braterskiem powitaniem. Serdeczność była cechą ówczesnego szlacheckiego społeczeństwa, zastępowała dzisiejsze formy. Kochano krewnych, bo bliżsi i dalsi stanowili jedną rodzinę, kochano sąsiadów, bo ziemia nie przechodząc jak dziś z rąk do rąk, była kartą, na której zapisane były dzieje pokoleń, a tradycya przyjaznych stosunków rodzin, łączyła potomków węzłem przyjaźni. Szlachcic szlachcica nazywał „bratem" bo dla wszystkich wspólną matką była ojczyzna.

Gdy usiadł pan Wydżga w ganku, wnet postawiono trzecią szklankę i dzban starego miodu. Rozpoczęto rozmowę o panu wojewodzie, o Wiśnickim zamku, gdyż tylko z siedzib panów, mogła się szlachta dowiedzieć o polityce, o stosunkach z mocarstwami. Zajęta tylko sejmikami, bez organów wówczas dziennikarskich, zaprzątnioną była wewnętrznemi sprawami kraju, ale zewnętrzne stosunki niedolatywały do niej. Pan Wydżga zbliżony do dygnitarza Rzeczypospolitej był arcy-pożądanym gościem. Poważną polityczną rozmowę zakończał pan rotmistrz, zwykłym argumentem, iż „gdyby książę Ostrogski usłuchał był mojej rady, Smoleńsk dawno byłby zdobyty".

Wychyliwszy ostatnie dwa kielichy, za pomyślność Rzeczypospolitej i kochajmy się, udali się do komnat. Nie było tam przepychu, dębowe sprzęty, stoły przykryte perskiemi dywanami i szafy pełne sreber, były całą ozdobą. Nierozpieszczone ówczesne społeczeństwo, niepojmowało wygód ciała, nawet brzydziło się jako zniewieściałością.

Pan Wydżga złożywszy swoją marszałkowską powagę, ożywił się w szlacheckim domu, był wymownym, wesołym, jakby odmłodniał pod słomianą strzechą. Opowiadał z wielkim dowcipem o katastrofie w Wiśniczu z hrabią Bellaroka. Pan Jakób Krasicki i Drohojewski, śmieli się tak szczerze, iż im pasy się rozwiązywały. Gdy zakończył opowiadanie wywiezieniem hrabiego za granicę i jak go pożegnał słowami: „jedź zamorski dyable na złamanie karku", wśród grzmiącego śmiechu po stokroć ucałowano pana Rotmistrza. Gdy się uspokoili, rzekł Krasicki:

— Pan wojewoda Kmita, jest nietylko wielkim statystą, ale i mądrym sędzią, jak Solon, bez rozgłosu ukarał winowajcę i niepotępił hetmana, który tyle usług oddał Rzeczypospolitej.

— A mnie się widzi — przerwał Drohojewski— iż wojewoda powinien był użyć swego starościańskiego prawa i ściąć łeb podłemu Włochowi.

— Umiarkowanie — odrzekł Krasicki — jest cechą wytrawnego męża.

— Półśrodki są oznaką tchórzów — zapalając się zawołał Drohojewski.

— Mój sąsiedzie, nie irytuj się.

— A ty sąsiedzie, nie draźnij mnie swym zimnym rozsądkiem.

— Ależ panowie — wołał Wydżga. — Ogień i woda są Boskie elementa, bez nich świat obejść się nie może, rozsądek i krewkość są żywiołami ludzkiej natury.

— Wiemy o tem, Rotmistrzu, i dlatego choć się sprzeczamy, ale się kochamy — odrzekł Drohojewski.

— Jak Kastor i Poluks — dodał Krasicki.

Rzucili się sobie w objęcia, a odgłos serdecznych pocałunków rozlegał się po komnacie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DYONIZA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMASA (syna)

PRZEKŁAD

Bronisławy K.

(Dalszy ciąg.)

SCENA III.

Marta, Andrzej.

Marta. Słucham cię!

Andrzej. Wydajesz mi się trochę podrażnioną.

Marta. Jestem nią w istocie.

Andrzej. Czy jazda konno zmęczyła cię?

Marta. Bynajmniej, ale znudziłam się śmiertelnie na spacerze.

Andrzej. I cóż było tego powodem?

Marta. Powiem ci to później. Powiedz mi najpierw, dlaczego mnie wzywałeś?

Andrzej. A to, droga Marto, że chciałem ci zrobić wymówkę, iż nie masz do mnie zaufania.

Marta. Któż ci to powiedział?

Andrzej. Nikt. Ja sam to spostrzegłem. Nie jesteś ze mną tak szczerą, jak siostra powinna być dla brata.

Marta. Czyjaż w tem wina? To ty raczej nie postępujesz ze mną, jak brat z siostrą.

Andrzej. Czynię wszystko co mogę, aby ci się przypodobać.

Marta. Od kiedyż to?

Andrzej. Od chwili, gdy mieszkamy razem.

Marta. To nie zbyt dawno.

Andrzej. Wierzaj mi, iż bardzo mi było przykro, że nie mogłem cię prędzej wziąć do domu.

Marta. A cóż mogło przeszkadzać kochającemu się rodzeństwu żyć razem?

Andrzej. Zwyczaje światowe, kochana Marto. Nie mamy już rodziców i we dwoje stanowimy całą rodzinę.

Marta. Tembardziej nie powinniśmy się rozłączać.

Andrzej. Byłem za młodym, aby ci zapewnić opiekę, a przytem jako kawaler...

Marta. Bywiłeś się i nie chciałeś dla mnie wyrzekać się przyjemności, to bardzo naturalne; ale przez ten czas dusiłam się w murach klasztornych, gdzie ciągle kładziono mi w uszy, abym została zakonicą, gdzie roztrząsano nietylko moje czyny i słowa, ale nawet spojrzenia i myśli. A jednakże, jeżeli dalej tak będzie, wolałabym tam powrócić.

Andrzej. Nie znałem nikogo komubym mógł cię powierzyć z zupełnem zaufaniem.

Marta. Osoba taka istniała jednak.

Andrzej. Któż to taki?

Marta. To ja sama... Mogłeś dozór nade mną powierzyć mnie samej a nie groziłoby mi żadne niebezpieczeństwo. Czuwałabym nad sobą lepiej, niż ktokolwiek inny.

Andrzej. Ten rodzaj opieki nie jest u nas przyjęty. Świat wziąłby to za złe i nigdyby nam tego nie przebaczył. Jak tylko więc znalazłem kobietę poważną i godną być twoją opiekunką, której córka, dobra i wykształcona jest odpowiednią dla ciebie towarzyszką, natychmiast odebrałem cię z klasztoru, abyś odtąd dzieliła ze mną złą i dobrą dolę. Czy możesz się skarżyć na którą z tych pań?

Marta. Być może.

Andrzej. Powiedz mi zatem wszystko.

Marta. Później, teraz wysłucham co ty masz mi do powiedzenia.

Andrzej. A zatem powiedz mi szczerze, siostrzyczko, czy bardzo kochasz panią de Thauzette?

Marta. W istocie lubię ją bardzo. Ona była niemal jedyną osobą, która odwiedzała mnie częściej w klasztorze i starała się rozerwać mnie trochę.

Andrzej. Czy wiesz o co pani de Thauzette prosiła mnie dziś rano?

Marta. O cóż takiego?

Andrzej. Prosiła mnie o twoją rękę, dla swego syna.

Marta. I cóż jej odrzekłeś?

Andrzej. Odmówiłem stanowczo.

Marta. Z powodu?

Andrzej. Z powodu, iż nie uważam, aby Fernand był odpowiednią dla ciebie partyą.

Marta. Dlaczegóż ma być nieodpowiednią partyą? Cóż takiego uczynił?

Andrzej. Postępowaniem swojem nie zasługuje na to.

Marta. Jeżeli tak jest, dlaczego przyjmujesz go w swoim domu?

Andrzej. Bo nie chcę robić przykrości jego matce. Ale widocznie źle zrobiłem, okazując się dla niego tak pobłażającym, skoro mógł choć na chwilę przypuścić, że zostanie twoim mężem.

Marta. A cóż powiedziała pani de Thauzette na twoją odmowę?

Andrzej. Dała mi do zrozumienia, że ty sprzyjasz Fernandowi.

Marta. Być może.

Andrzej. A więc kochasz go?

Marta. Muszę przecież kochać kogoś, a ponieważ ci, których pragnęłam otoczyć miłością, udają że tego wcale nie widzą, jestem zmuszoną kochać tych, którzy szczerze lub nie, okazują mi swoją przychylność. Przyznaj sam, że nie mogę całego życia spędzić pomiędzy panią Brissot i panną Brissot, za całą rozrywkę mając li tylko towarzystwo Pontferrandów.

Andrzej. Może chciałabyś wyjechać za granicę? Jestem gotów towarzyszyć ci.

Marta. O! nie, podróże nie nęcą mnie wcale.

Andrzej. Więc nie wyrzekniesz się uczucia dla Fernanda, choć ono jeszcze zbyt trwałem być nie może, nawet pomimo tego co ci powiedziałem?

Marta. Uczyniłeś mu wprawdzie jakiś niezrozumiały dla mnie zarzut, ale nie poparłeś tego dowodami.

Andrzej. Widzę, że nie ufasz moim słowom. (Marta milczy.) Czy to w klasztorze uczono cię podejrzliwości względem brata?

Marta. Nauczyłam się tam nie ufać zbytecznie nikomu.

Andrzej. Z wyjątkiem Fernanda i jego matki, o ile mi się zdaje.

Marta (po chwilowem milczeniu). Zapewne panna Brissot będzie upoważnioną do uczenia mnie jak mam postępować...

Andrzej. A cóż panna Brissot może mieć za styczność z tą kwestyą? Panna Brissot nietylko że nie mówiła nigdy źle o Fernandzie i pani de Thauzette, ale nawet nic zgoła o nich nie wspomniała.

Marta. To mnie dziwi.

Andrzej. Dlaczego?

Marta. Dlatego, iż znając tak dawno pana de Thauzette, wie najlepiej co o nim sądzić.

Andrzej. A więc zapytaj ją!

Marta. Nie potrzebuję żadnych od niej objaśnień, bo wiem to co potrzebuję wiedzieć.

Andrzej. O nim?

Marta. I o niej.

Andrzej. Wytłomacz się jaśniej. (Marta milczy.) Zresztą do czego to wszystko zmierza? Rozumiesz dobrze, moja droga Marto, że rozmowa nasza jest tak drażliwej natury, iż nie sposób jej wznawiać powtórnie. Sama widzisz, że między mną a tobą istnieje jakaś dziwna przepaść, że rodzinny nasz stosunek jest tak chłodny, iż nie odpowiada ani naszemu wiekowi, ani stanowisku. Nie wiem kto, albo raczej mówiąc szczerze, wiem aż nadto dobrze, kto był tyle usłużnym, ażeby cię tak źle usposobić względem mnie i panny Brissot, którą uważam zawsze za godną ciebie towarzyszkę. Lecz ponieważ jesteś przeciwnego zdania, nie możecie zatem dłużej pozostać razem.

Marta. Oddal ją więc!

Andrzej. Ależ nie mogę panny Brissot odprawić, bez powodu, jak pierwszą lepszą służącę. Wszak ona jest córką uczciwego i szlachetnego człowieka, który oddaje mi ważne usługi i jest szczerze do mnie przywiązany. Matka jej zarządza domem moim jak najstaranniej. Jeżeli zatem panna Brissot zgodziła się być twoją towarzyszką, to uczyniła to jedynie przez wdzięczność dla mnie, przez przywiązanie do ciebie, a ty jej ślicznie za to odpłacasz! Jeśli nie chcesz żyć z nią w przyjaźni, jeśli nie chcesz okazywać przynależnych jej względów, musisz odrazu coś postanowić. Ja bowiem, dla kaprysu zepsutego dziecka, którego złego humoru i niewdzięczności nic nie usprawiedliwia... (Marta porusza się niecierpliwie) tak, niewdzięczności mówię!... gdyż tem jednem słowem można jedynie określić uczucia twoje względem osoby, która ci dała niemało dowodów zaufania; ja, powtarzam, nie rozłączę się dla twego kaprysu z ludźmi, których szanuję, nie ukrzywdzę ich tak niesprawiedliwie i nie pogrążę w nędzy, odbierając im możność pracy.

Marta. A więc?

Andrzej. A więc, moja droga siostro, ponieważ próba wspólnego naszego pożycia nie wypadła pomyślnie, ponieważ odrzucasz towarzystwo panny Brissot i chcesz wyjść za mąż za człowieka niegodnego ciebie w mojem przekonaniu, nakoniec ponieważ widzę, iż potrzebujesz troskliwszej nad sobą opieki niż własny twój rozsądek, sądzę zatem, iż najlepiej zrobisz, gdy wrócisz do klasztoru, co jak przed chwilą mówiłaś, nie będzie dla ciebie rzeczą zbyt przykrą. Wreszcie wkrótce dojdziesz do pełnoletności, jak ci o tem pewno powiedziała już pani de Thauzette, a wtedy będziesz panią swej woli i możesz robić co ci się podoba. Lecz nim to nastąpi, obowiązkiem moim jest bronić ci tego, co cię unieszczęśliwić może na całe życie.

Marta. To, co mnie nieszczęśliwą uczynić może, spełniło się już w zupełności.

Andrzej. Co chcesz przez to powiedzieć?

Marta (żywo). Że kochasz pannę Brissot, że ona wie o tem i chce abyś się z nią ożenił. Oczywiście o niej nie ma nic złego do powiedzenia, nie tak jak o innych mniej szczęśliwych. Przez nią to wypędzasz mnie z domu, w którym ona chce być samowładną panią. Jeśli tak jest, to stokroć wolę powrócić do klasztoru!

Andrzej. Kiedy chcesz żebyśmy wyjechali?

Marta. Jak tylko można najprędzej.

Andrzej. Jutro zatem, ponieważ dziś mamy gości na obiedzie.

Marta. I owszem, jutro zrana.

Andrzej. Muszę więc napisać do przełożonej i wydać stosowne rozporządzenia. Ah! Marto, nie rozumiesz jak wielką sprawiłaś mi przykrość.

(Wychodzi.)

SCENA IV.

Marta sama, później Fernand.

(Marta zostawszy samą, biegnie do fortepianu i zaczyna grać gorączkowo. Nagle zatrzymuje się i wyciągając z kieszeni małą teczkę, ogląda się trwożliwie dokoła, czy nie ma nikogo, poczem zaczyna szybko pisać, pochylając się tak, aby ją nikt nie mógł podpatrzeć. Podczas gdy Marta pisze, Fernand wchodzi.)

Fernand. Pani!

Marta. Ah! to pan! Widząc, że nie przychodzisz, pomimo umówionego znaku, zaczęłam do pana pisać.

Fernand. Daj mi pani ten list!

Marta. O! nie, to już zbyteczne, kiedy możemy się ustnie porozumieć.

(Chce podrzeć swój list.)

Fernand. O! nie niszcz pani tego listu. Gdyby ktoś nadszedł, mogłabyś mi go oddać niepostrzeżenie, podając mi rękę; on by mi powiedział to czego pani nie zdążyłaś wypowiedzieć, on byłby niejako pierwszym dowodem twej przyjaźni i zaufania dla mnie. (Marta drze bilecik i rzuca kawałki w ogień.) Czytałaś pani mój bilecik, który ośmieliłem się napisać dziś rano do ciebie?

Marta. Czytałam.

Fernand. Czy było w nim coś takiego, co ci się niepodobało?

Marta. Masz pan najlepszy dowód, że nie, kiedy przyszłam na wezwanie pana do salonu. Pisałeś, że chcesz ze mną pomówić, otóż jestem.

Fernand. Wytłomacz mi pani, dlaczego nie wzięłaś odrazu książki w której umieściłem mój bilecik?

Marta. Chciałam zostawić panu czas do namysłu. Zdawało mi się, że może żałujesz swego śmiałego postępku, jakim było bezwątpienia napisanie do mnie tego listu i umyślnie zostawiłam książkę, przypuszczając, iż pan zabierzesz swoją korespondencyą pierwej, niżby się dostać mogła w obce ręce.

Fernand. Jednak nie uczyniłem tego. Dla pani naraziłbym się z ochotą na wszystko.

Marta. Posłałam więc pannę Brissot do salonu po książkę, gdyż sądziłam, że jeśli pan ją oddasz, z pewnością w niej już bileciku nie będzie, panna Brissot bowiem otworzyłaby go bez skrupułu.

Fernand. Dlaczego?

Marta. Alboż nie jestem oddana pod jej dozór?

Fernand. Dyoniza nie posunęłaby się do tego, aby własnowolnie złamać pieczątkę położoną na opasce książki.

Marta. Widzę, że panna Brissot jest teraz uosobieniem wszystkich cnót tak dla pana, jak i dla mego brata. Ale to czego nie uczyniłaby przez troskliwość, mogła popełnić idąc za popędem zazdrości.

Fernand. Nie rozumiem pani.

Marta. Kochałeś ją pan przecie?

Fernand. Ja! cóż za szaleństwo!...

Marta. Pańska matka powiedziała mi to, dodając, abym się z nią miała na baczności. A matka przecież znała o tem wiedzieć?

Fernand. Dlaczegóż koniecznie musiałaby wiedzieć?

Marta. Bo pan nie taiłbyś tego przed nią. Wszakże jej mówisz, że mnie kochasz?

Fernand. To zupełnie co innego; ja byłem niejako zmuszony wyznać wszystko matce, bo to był jedyny sposób porozumienia się z panią, przez jej pośrednictwo. Nie mogłem przecie pani tak często widywać. Zresztą, mam nadzieję, że z czasem zasłużę na względy pani, łączące nas związkami małżeńskiemi, gdy tymczasem nigdy nie pomyślałem o małżeństwie z Dyonizą.

Marta. Czy dlatego, że była biedną?

Fernand. O! pani, czy to się godzi... posądzać mnie o coś podobnego... żegnam panią.

Marta. Zostań pan!... Powiedz mi wszystko, wszystko co dotyczy ciebie i Dyonizy, ja chcę to wiedzieć.

Fernand. Ależ, Boże mój, co ja mogę pani powiedzieć ciekawego? Była to niewinna miłość młodzieńca dla dziewczynki, z którą się razem wychował, miłość tak wielka, że z niej pozostało zaledwo wspomnienie, jak tylko dziewczynka wyrosła na kobietę a młodzieniec na dojrzałego mężczyznę. Zapytaj Dyonizę o nasze dawniejsze względem siebie uczucia, a zobaczysz jak się serdecznie rozśmieje.

Marta. Pierwszy to raz widziałabym ją śmiejącą się. Ale poprzestanę na pańskiem tłomaczeniu, które chciałam usłyszeć wpierw, niż panu powiem nowinę. Jutro wracam do klasztoru.

Fernand. A to z jakiego powodu?

Marta. Twoja matka prosiła dziś Andrzeja o moją rękę dla ciebie. Czy wiedziałeś pan o tem?

Fernand (wahająco). Nie.

Marta. Jakto, nie? Twoja matka prosi w imieniu pana o moją rękę i pan nic o tem nie wiesz? Strzeż się, bo ja brzydzę się kłamstwem. Mogę wiele przebaczyć, ale tego nie przebaczyłabym nigdy! Kłamstwo dozwolone jest służbie, ale nie ludziom z naszej sfery. Ja jestem bardzo szczera, za szczera nawet, mianowicie z panem; odpłaćże mi równąż szczerością. Gdybym kiedykolwiek dowiedziała się, że skłamałeś pan przedemną, choćby powodem kłamstwa była rzecz błaha, nie chciałabym cię widzieć więcej, choćbym nawet wtedy była już twoją żoną. Wiesz pan, że brat mój nie zezwala na nasze małżeństwo, twierdząc, iż pan popełniłeś w życiu wiele rzeczy godnych nagany. Czy to prawda?

Fernand. Prawda.

Marta. I cóż to takiego?

Fernand. Żyłem w złem towarzystwie, byłem rozrzutny... Roztrwoniłem cały mój majątek. Grałem w karty, robiłem długi, pojedynkowałem się. Jednem słowem postępowałem tak, jak postępuje wiele młodych ludzi z naszego świata, zanim spotkają kobietę, która im wskaże drogę prawdy, kobietę, którą wiecznie kochać będą. Nakoniec w tej chwili popełniam największy, w przekonaniu wielu ludzi występek i tego pewno brat twój przebaczyć mi nie może, że nie mając majątku, ośmielam się mówić o miłości posażnej pannie, która w bardzo upokarzający sposób dała mi to do zrozumienia przed chwilą, iż nie przypuszcza, abym mógł kochać bezinteresownie.

Marta. Naturalnie, bo jeśli pan kochałeś Dyonizę, powinieneś się był z nią ożenić, nawet pomimo tego, iż była biedną, a nawet dlatego właśnie, że była biedną. W małżeństwie musi być równość i zgoda we wszystkiem, cóż więc naturalniejszego, że gdy jedno z małżonków ma pieniądze, dzieli je chętnie z drugiem? Jeśli pan masz sobie tylko to do wyrzucenia, że niebacznie straciłeś swe mienie, to drobnostka w moich oczach; dowodzi to owszem, że pieniądze nie mają dla pana wielkiej wartości, bo wierzaj mi, że nikt bardziej nie gardzi pieniędzmi jak ja. Względy pieniężne nie powinny nigdy mieć wpływu na postanowienia nasze, a tem mniej na nasze uczucia. O jedno tylko pana pytam i chcę to wiedzieć stanowczo, czy nie wykroczyłeś pan kiedy w życiu przeciwko prawom własnej godności?

Fernand. Czyżby brat powiedział pani?...

Marta. Tak.

Fernand. Jakże może tak o mnie mówić? Służył mi przecie za świadka, gdy pojedynkowałem się z człowiekiem, który mnie oczerniał. Wybacz pani, ale spokojnie nie zniosę takiego oskarżenia i idę spytać się twego brata...

Marta. Nie żądaj pan teraz od niego tłomaczenia, gdyż rozmowa wasza, z powodu rozdrażnienia mojego brata, mogłaby łatwo przybrać charakter kłótni. Jeżeli mój brat ma jakieś dowody potępiające pana, wyjawi mi je z pewnością, gdy będę w klasztorze. Ja sama zatem będę pańskim sędzią. Jeśli nie będę miała nic do zarzucenia panu, mam mocne postanowienie zostać twoją żoną, chyba, że nie będziesz miał cierpliwości czekać na mnie dość długo.

Fernand. Ale dziś pani radbym jeszcze...

Marta. Dziś już zobaczymy się z sobą tylko wobec gości; nie będziemy więc mogli porozmawiać swobodnie. Pisać do pana także mi nie pozwolą. Brat mój nie omieszka zapewnie prosić przełożonej, aby mi zabroniła przyjmować twoją matkę lub pisywać listy. Jest-to więc ostatnia nasza rozmowa, aż do dnia w którym będę wolną. Weź pan jednakże ten pierścionek i jeśli będziesz miał co ważnego do powiedzenia, włóż ten pierścionek w tę oto szufladkę, do której ja zaglądać będę, to znalazłszy go tu, będę na pana czekać w alei prowadzącej do domku leśniczego; spotkać się tam możemy bezpiecznie.

Fernand. A więc kochasz mnie pani choć trochę?

Marta. Tak, kocham!

Fernand. Ja także kocham cię i uczyniłbym wszystko, aby się stać godnym ciebie... Podaj mi rękę.

Marta. O! dziś... nie! dostaniesz ją pan w dniu naszych zaręczyn... (Spostrzega we drzwiach wchodzącą Dyonizę.) Dyoniza!...

(Odsuwa się od Fernanda i podchodzi do fortepianu, spoglądając w zwierciadło dla zobaczenia czy Fernand i Dyoniza nie dają sobie jakich znaków. Lecz ci nietylko, że nie mówią do siebie, ale nawet na siebie nie patrzą.)

Fernand (głośno do Dyonizy). Czy nie wiesz gdzie jest moja matka?

Dyoniza. Zeszła do ogrodu i rozmawia z panem Thouwenin.

Fernand. Dziękuję ci! (Kłaniając się.) Moje uszanowanie paniom!...

(Wychodzi.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Przegląd pedagogiczny. — Własność publiczna. — Pewna pani w ogrodzie Botanicznym. — Publiczność zagraniczna. — Dzieci w Niemczech, Francyi i Anglii w ogrodach publicznych. — Rozmowa z Francuzem. — Nasze postępowanie. — Rada naprawy złego. — Kropla wody. — Teatr Meiningerów. — Zachwyt publiczności. — Ciekawość. — Suknia jadwabna. — Córka stróża. — Polacy w Rio de la Plata i w Islandyi.

W ostatnim numerze „Przeglądu pedagogicznego", czasopisma poświęconego sprawom wychowania szkolnego i domowego, pomiędzy innemi artykułami przez naszych pedagogów opracowanemi, znajduje się jeden niewielki rozmiarem ale niezmiernie ważny treścią, godny bliższego poznania. Jest to rozprawka o poszanowaniu własności publicznej, napisana przez Edwarda Siwińskiego, której jak u nas, stróżem jest malutkie bardzo grono ludzi, patrzących ze smutkiem, jak ją niszczy bezmyślnie, nietylko tak zwana gawiedź, ale i ludzie wyższej niby klasy, zamożni, inteligentni, a szczególniej owi co im się zdaje, że świat cały do nich należy.

Sam byłem świadkiem, jak pewna... pani, dość letnia, na którą kareta z lokajem czekała przed ogrodem Botanicznym, zrywała kwiaty, składając je do dużej, jedwabnej, czarnej torby, umyślnie widać uszytej na chowanie łupów w swych wyprawach... złodziejskich. Była to południowa godzina, z dozoru ogrodowego nie było nikogo, rwała też z największą swobodą, jawnie, nic się nie kryjąc, aż dopiero na głos mój karcący, szybko wyniosła się z ogrodu. Jeżeli więc panie karetowe tak własność publiczną u nas szanują, cóż dopiero powiedzieć o tych, co karety znają tylko z nazwiska.

W Niemczech, Francyi lub Anglii, powiada p. Siwiński, patrząc na zachowanie się tamtejszej ludności w muzeach, galeryach, bibliotekach, w ogrodach publicznych, słowem we wszystkich tych miejscach, gdzie pojedyńczy człowiek styka się z własnością ogólną, widocznem jest, iż każdy mniej więcej pojmuje, iż stanowiąc cząstkę społeczeństwa, którego dana rzecz jest własnością, ma do niej z innymi równe prawo, a tem samem, że cięży na nim obowiązek nietylko uszanowania tejże, ale i czuwania, aby i wszyscy inni tak samo się względem niej zachowywali.

Słuszne to i rozumne poczucie rozwinięte w narodzie, rodzice wcześnie zaszczepiają w dzieciach swoich, a to ten pożyteczny wydaje rezultat, że wesołe gromady dzieci, bawiąc się w ogrodach publicznych, nie biegają po trawnikach, nie łamią gałęzi i krzewów i nie kuszą się o zrywanie kwiatów, któremi tak szczodrze, zwłaszcza ogrody paryzkie są przyozdobione. Malcy biegają, ale w najbardziej zapalonej gonitwie, nie wykraczają po za granice wytkniętej drogi lub ścieżki, a baryerki kilkanaście cali zaledwie wysokie, najzupełniej wystarczają, aby wojowniczy tłum małych rycerzy powstrzymać w zapędzie i do uszanowania publicznej własności nakłonić.

Podziwiając, powiada pan S., sposób zachowania się dzieci np. we Francyi przy wystawach sklepowych i kramach z zabawkami i łakociami, których pomimo niemego zachwytu żadne się ręką nie dotknie, a nawet przez wyrafinowaną delikatność w tyle je za sobą trzymają, objaśnił mnie jeden z Francuzów powiadając, że w bardzo wielu rodzinach przyuczają dzieci do takiego zachowania się i że równie w ten sposób był wychowany. Ojciec jego był wojskowym, wszystko w domu szło podług komendy, a było w domu czterech chłopców niewiele różniących się wiekiem. Ilekroć razy, powiedział, wyszliśmy z ojcem na spacer, a przybliżyliśmy się do jakiego kramu, natychmiast rozległa się za nami ostra komenda: dzieci, ręce w tył!

Tym oto prostym sposobem, mówił ów Francuz, nawykają u nas dzieci do roztropnego zachowania się w miejscach publicznych i szanowania cudzej własności.

U nas... mówiąc między nami, dzieci naśladują starszych, a starsi oburzają się brutalnie, gdy się ich grzecznie przy robieniu szkody wezwie do porządku. Słusznie też powiada pan S., że najsurowsze przepisy policyjne, nie są w stanie zabez-

pieczyć własności publicznej od uszkodzenia w społeczeństwie takiem, w którem ludzie dojrzali podobnego poczucia nie mają, dzieci zaś nie przestaną niszczyć ogrodów, jeżeli właśni rodzice czuwać nad niemi nie będą, jeżeli przestrogą i własnem zachowaniem się dobrego im dawać nie będą przykładu.

Aby jednakże reforma zwyczajów naszych pod tym względem w życie wejść mogła, trzeba żeby ludzie rozumni i podzielający to zapatrywanie, zdobyli się na odważną inicyatywę, nie wahali się stawać w obronie własności publicznej i śmiało przeciw jej gwałcicielom występowali, nie oglądając się wcale na żadne względy uboczne. Tym jedynie sposobem ogół nasz powoli nawykać zacznie do innego postępowania, a gdy wreszcie korzyści poszanowania własności publicznej zrozumie, to z kolei tego samego i dzieci swoje nauczać będzie.

Zdrową tę radę, praktyczną i nader łatwą do wykonania, polecamy publicznej uwadze. Wprowadzona w życie, nieprędko wyda z siebie plon pożądany, ale pomału z ziarnka do ziarnka zbierze się miarka.

Artykuł ten, p. S., godzien jak największego upowszechnienia, powinienby być choć w treści głównej powtórzony przez wszystkie pisma peryodyczne a szczególniej przez Kuryery wszelkiego rodzaju, wędrujące po całej Warszawie. Nie ma w nim wprawdzie opisu strasznej zbrodni lub rozpaczliwego otrucia, co czytając mrowie przebiega po skórze: nie ma także nic nowego, nic takiego o czemby u nas już dawno nie pisano i nie mówiono, ale podnoszenie uporczywe jednej ciągle sprawy, staje się w końcu ową kroplą wody w granicie ryjącą zaklęśnienia. Niech więc spada ciągle bez wytchnienia, niech nudzi i naprzykrza się, niech puka, stuka i kołacze, a w końcu przecież coś wykołatać musi.

Teatr Meiningerów w Warszawie, nadzwyczajnem cieszy się powodzeniem, jakiego nawet nieprzypuszczano.

Niektórych to raduje, że za wydalenie przeszło 20,000 ziomków naszych z Poznańskiego, ludzi spokojnych, pracowitych, nawet walczących w szeregach pruskich dla jedności niemieckiej, płacimy chlebem za kamień, jakim w nas ugodzono: że w imię jakiejś wymarzonej korzyści naukowej, zapominamy o tem co nas boli, aby tylko łyknąć choć haušcik nektaru zowiącego się kulturą niemiecką. Wszystko to bardzo zręczne, tylko na nieszczęście, że z pod tego wielce naciągniętego dowodzenia, wytyka jak szydło z worka... ciekawość, czująca że grzeszy, niechcąca się jednak przyznać do tego i pragnąca usprawiedliwić.

Wczesne też ogłoszenia o świetnych dekoracyach przywiezionych przez reżysera, o zadziwiającej maszyneryi, o pakach z ubiorami i różnemi rekwizytami, wielce się do tego powodzenia przyczyniły, chociaż niepodlega żadnej wątpliwości, że jak wybór dramatów i tragedyi pomiędzy arcydziełami literatury niemieckiej i angielskiej, trafnie był dokonany, tak i przedstawianie ich jest tak staranne, i sumiennie wykonane w najdrobniejszych szczegółach, że dotąd nic podobnego na żadnej scenie teatralnej widzieć nie można było.

Ciekawość w pewnym kierunku rzecz bardzo chwalebna, ciekawych wszędzie tłumy i w Warszawie ich nie brakuje; to też teatr zawsze jest przepełniony, chociaż każdą sztukę po trzy razy powtarzają i tem samem obudza podziwienie, że tylu Niemców w Warszawie naszej zamieszkuje. Złośliwi wprawdzie twierdzą, że pomiędzy ową natłoczoną publicznością, wielu się znajduje nie Niemców i z niemczyzną niewiele zbratanych, ale ciekawość wszystko przemogła i Meiningerzy cieszą się wielkiem powodzeniem, a publiczność nasza przywyka do pozostawania w sali do samego końca przedstawienia, żeby dać dowód, jak jest w całem swem gronie zachwycona, radością promieniejąca, zapominająca nawet o głodzie, pragnieniu i spóźnionej porze czasu.

Z wyżyn tych artystycznych schodząc na padoł śmiesznostek i trosk codziennych naszego żywota, przedewszystkiem należy się pierwszeństwo: córce jednego ze stróży kamienicznych w Warszawie, która wychodząc za parobka z browaru, postawiła za konieczny warunek, aby do ślubu jechała karetą. I stało się zadość życzeniu panny młodej: w karecie przybyła do Świątyni, a goście nie chcąc się pieszą podróżą lub dorożkami narażać na śmieszność, także w czterech karetach za nią podążyli. Pokazuje się, że żab pragnących podkowy nigdzie nie brakuje a życie nad stan coraz się bardziej rozszerza w sposób prawie trudny do uwierzenia.

Lat temu kilka, żona posługacza w łaźni, straciwszy dziecko, przyjęła obce za wynagrodzeniem stu rubli. Należytość miała sobie sumiennie wypłaconą i jak tylko pieniądz uczuła w ręku, natychmiast sprawiła sobie... jedwabną suknię.

Gdy mąż robił jej odpowiednie i bardzo rozsądne uwagi, nie przyjęła ich, powiadając, że to są pieniądze wyłączną jej własnością, i że pragnie za nie użyć choć raz w życiu rozkoszy, jaką przynosi posiadanie jedwabnej sukni. Rozkoszowała się też nią zaraz wkrótce na weselu czeladnika szewckiego z pomywaczką w restauracyi a potem w rok znów drugi raz się rozkoszowała, oglądając w niej plamy z wilgoci i wielką dziurę przez myszy wygryzioną.

Gdy tak u nas na rodzinnej ziemi między warstwy najniższe wkrada się zbytek i hołdowanie pozorowi, na drugiej stronie naszego globu, w Buenos-Ayres, dziś głównem mieście Zjednoczonych Stanów Rio de la Plata, mieszka osiedlonych tam 450 Polaków, bardzo pracowitych, oszczędnych i gospodarnych, i lubo rozproszonych po mieście, stanowiących jedną gminę i parafią, w której głoszone są kazania polskie. Większość stanowią katolicy, żydzi z łatwością się wynaradawiają a do wyznań reformowanych zaledwie należy kilkunastu.

Gmina ma własny klub, posiadający około dziesięciu polskich dzienników, po mieście na szyldach mieszczą się polskie napisy. Rękodzielnictwo i handel stanowią główne zajęcie tamtejszych Polaków, niektórzy oddali się rolnictwu a kilku jest nawet adwokatami.

W Islandyi znów w Sejdisfiördzie, miejscowości słynnej z połowu śledzi, mieszka były obywatel ziemi płockiej, który tam przed dwudziestu laty osiedlony, dotąd z rodziną listowne utrzymuje stosunki. Polaków w Islandyi znajduje się bardzo mało, bo zaledwie 20 osób i ci są bardzo rozproszeni zajmując się wyłącznie handlem i rybactwem. Ale handel śledziami nader małe przynosi korzyści, Polkowski zatem od roku wyrabia konserwy ze śledzi i to mu lepiej znacznie procentuje. Obecnie na wystawę w Antwerpii, rodak nasz wysłał sieć własnego pomysłu odznaczającą się wielką prostotą.

Pod starym dębem.

— Starcze! to drzewo, widzisz, wysokie,
Jakże daleko rzuca konary,
Jak cicho patrzy w wody głębokie,
O, jakże piękny jest dąb ten stary!

— Młodzieńcze! jakże smutnem wspomnieniem,
Ten dąb jest dla mnie. Tę, co kochałem,
Pomnę, nim zmarła, już prawie cieniem,
Poraz ostatni tu oglądałem.

— Starcze! to drzewo moją świątynią,
To drzewo skarbcem mar moich miłym;
Tu poraz pierwszy przed mą boginią,
Głębie miłości mojej odkryłem.

A. L.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **W sprawie biednych dziatek.** Sezon kolonii letnich zacznie się niebawem, polecamy je też gorąco, dobremu sercu szanownych pań naszych.

W ciągu lat trzech, od czasu ich założenia, ofiary napływały coraz obficiej, słusznie więc spodziewać się można, że w tym roku jeszcze bardziej się wzmogą. Wiadomo nam wszystkim ile biedne te istoty zyskały zdrowia w czasie krótkiego pobytu na wsi, otoczone troskliwą opieką dozorczyń i szanownych obywatelek, w których majątku przebywały. Cześć zacnym dobroczyńcom, których szlachetna ofiarność niesie ulgę dziecięcej niedoli.

*** **Zabiegi** towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami o wynalezienie mieszkania, przyniosły już pożądany rezultat. Wybór jest pod każdym względem bez zarzutu. Lokal znajduje się w domu nieopodal zbiegu ulicy Pięknej i Marszałkowskiej, gdzie był dawniej zakład doktora Horocha. Składa się z sześciu pokoi z alkową, na parterze, z ogródkiem, a w podwórzu ma wodę dobrą i nigdy jej nie brakuje. Cena komornego 700 rs.

Jest projekt, aby później, gdy zakład działalność swą rozwinie, urządzić przy nim żłobek, w którym biedne matki idące na robotę, będą mogły na cały dzień zostawiać małe dzieci pod opieką dozorczyń, aby je dopiero w wieczór zabierać do domu.

Doktor Fritsche zacny inicyator tego projektu, obiecał się zająć bliższem zbadaniem podobnego rodzaju żłobków, istniejących zagranicą.

*** **Z Ciechocinka.** Dla dogodności osób będących na kuracyi w Ciechocinku, zarząd pocztowy porozumiał się z kolejami: Warszawsko-Wiedeńską i Bydgoską, celem ustanowienia na czas letni przesyłki korespondencyi dwa razy dziennie. Listy wysyłane z Ciechocinka rano, przychodziłyby po południu do Warszawy. Byłoby to bardzo pożądaną nowością.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Oświetlenie oceanu.** Amerykanie rzutni i energiczni w pomysłach, zamierzają teraz oświetlić ocean

Atlantycki, elektrycznością, od wybrzeża Newfoundland do Irlandzkiego. W tym celu okręty, mają w oddaleniu 200 mil morskich jeden od drugiego, zarzucać kotwicę w ten sposób, aby się mogły w koło niej obracać nie obluźniając jej. Okręty te mają być połączone podwodną linią elektryczną i być używane do przesyłania depesz. Projekt to dość dziwny, lecz amerykanie wierzą w jego spełnienie.

*** **Nowy rodzaj podróży naokoło świata.** Welocypedy wchodzą w modę i jeżeli tak dalej potrwa, mają przed sobą świetną przyszłość. Niejaki Tomasz Stereus, postanowił odbyć na tym kołowym rumaku podróż naokoło świata. W przeciągu 53 dni z San Francisko dotarł już do Bostonu. W trzy dni później na okręcie przybył do Liverpoolu, a ztamtąd na bicycle'u do Dovru.

Przepłynąwszy Kanał dosiadł znów swego rumaka i popędził do Paryża, zamierzając w ten sposób przebyć Niemcy, Austryą, Węgry i Turcyą. Około Listopada odpocznie w Teheranie, gdzie zatrzyma się na całą zimę. Z wczesną wiosną Stereus przejedzie Chiny, a potem siądzie na okręt i wróci tam zkąd wyjechał.

*** **Zbrodniczy zamach.** W Chicago usiłowano wysadzić w powietrze dynamitem gmach uniwersytecki. Zdołano jednak wcześnie temu zapobiedz, lecz zbrodniarz, Otto Funk, ratował się ucieczką. Jest-to znany socyalista, oskarżony przed paroma laty o okradzenie biblioteki uniwersytetu.

*** **Temperatura** w bieżącym roku płata przeróżne figle. Z Birmingham donoszą, że przez kilka godzin padał tam obfity śnieg. W północnej Szkocyi sanna i zimno bardzo dokuczliwe, szkodzące roślinności.

*** **Złota róża cnoty** przesłaną podobno została cesarzowej niemieckiej, od Ojca świętego. Wiadomość to jednak bardzo niepewna, gdyż, o ile wiemy, poświęcana róża dostawała się tylko wyznawczyniom katolicyzmu.

*** **Wdowa po Schultze Delitschu.** Dzienniki berlińskie donoszą, że ogłoszoną została licytacya majątku pani Schultze Delitsch. Tak więc założyciel pierwszej kassy pożyczkowej w Niemczech, niestrudzony pracownik przez lat trzydzieści, nie zdołał zabezpieczyć losu swej rodziny.

*** **Rocznica.** Dnia 25 Maja przypada ośmsetna rocznica urodzin Papieża Grzegorza VII Hildebranda. Pod protektoratem kardynała Lucido Maria Parvechi, utworzył się w Rzymie komitet, mający się zająć obchodem tej uroczystości.

*** **Pomnik.** W Szczawnicy, kosztem akademii umiejętności, ma być wzniesiony pomnik ś. p. Szalaja.

*** **Gondolierowie weneccy** są ludźmi bardzo awanturniczego usposobienia. Ponieważ pomimo niedorzecznych zakazów rady miejskiej, publiczność, szczególniej przejezdna, posługiwała się gondolami hotelowemi, ponieważ stare, brudne i obdrapane gondole przewoźników, wstręt w każdym budzą, wywołało to straszną awanturę. Przewoźnicy zniszczyli wszystkie prywatne gondole, z których kilka miało prawdziwie artystyczną wartość. Interwencya policyi niewiele pomogła, a zachowanie się jej było oburzające. Zamiast ująć niszczycieli, policyanci patrzyli na zamieszki z uśmiechem, a syndyk wyjechał z miasta.

*** **O plotkarkach.** Psycholog angielski, Bucking, dowodzi, że największa ilość plotkarek rekrutuje się z panien po 35 latach, i dochodzi do wniosku, iż państwo powinno je za mąż wydawać. Ponieważ jak utrzymuje, każda z nich pozostała w dziewiczym stanie dlatego tylko, że matkę ma niedołężną lub też straciła ją przedwcześnie. W tym celu Bukking proponuje otwarcie domów komisowych, w których, na koszt rządu, sortowanoby mężczyzn, dla dostarczenia małżonków doletnim pannom. Na otwarcie podobnego rodzaju instytucyi, składa od siebie 1,000 franków.

*** **Szczepienie cholery.** Donoszą z Madrytu, że w Tortoza (Katalonia) dr Ferrau z pomyślnym skutkiem szczepi przecinkowate bakcyle doktora Kocha. Oprócz spuchnięcia miejsca zaszczepionego, nowa ta metoda leczenia nie pociąga żadnych następstw. Tenże sam doktor zrobił naprzód doświadczenie na sobie i na swym przyjacielu. W Brazylii zastosowano również metodę szczepienia przeciw żółtej febrze.

*** **Nowe ubezpieczenie.** Reprezentant jednego z towarzystw asekuracyjnych, powziął i wypracował projekt ubezpieczania podróżnych od wypadków na kolejach. Każda z osób jadących koleją będzie mogła przy kupnie biletu zaasekurować się na pewną sumę, nie przenoszącą jednak 20,000 rs. Na wypadek śmierci lub ciężkiego kalectwa, spowodowanych wypadkiem, towarzystwo wypłaci te pieniądze poszkodowanemu lub jego sukcesorom. Ułożono już tablice składek, stosownie do odległości podróży, pory roku, sumy asekurującego się, od kop. 10 do rs. 8. Podobno projekt ten zyskał uznanie u zarządu towarzystwa.

*** **Odnaleziona relikwia.** Dzienniki greckie donoszą, że profesor Dile dokonał w Elatei odkrycia odnoszącego się do pierwszego wieku ery chrześciańskiej. Odnalazł on podobno w tem mieście kamień, pokryty łacińskiemi i greckiemi napisami, które dowodzą że jest to ten sam kamień, którym Chrystus w Kanie Galilejskiej dokonywał cudów, a który następnie przeniesiony został do Grecyi. Cenną relikwię uroczyście przeniesiono do Aten.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Мая 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

☞ Do dzisiejszego N-ru Tygodnika, dołączają się zaległe arkusze nowej powieści p. t. „Zwyciężyła”, przez Williama Marcelly, przekład z angielskiego. ☜

Opis do N-ru 21.

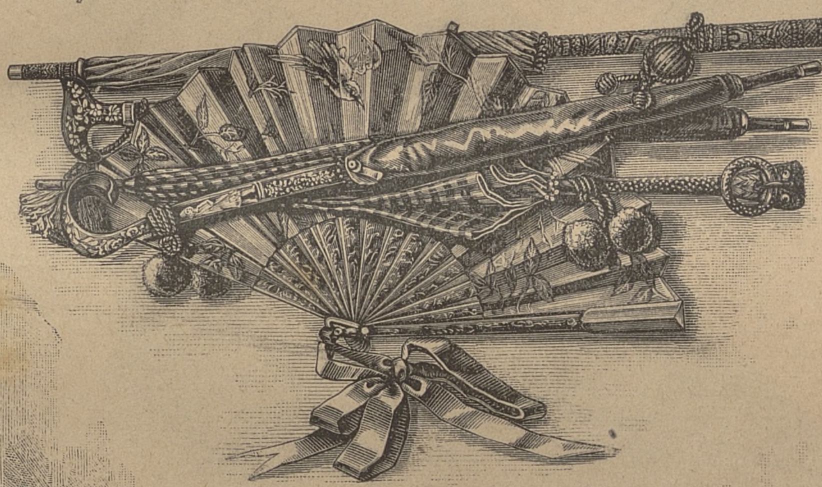
(Dokończenie).

N. 5. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.

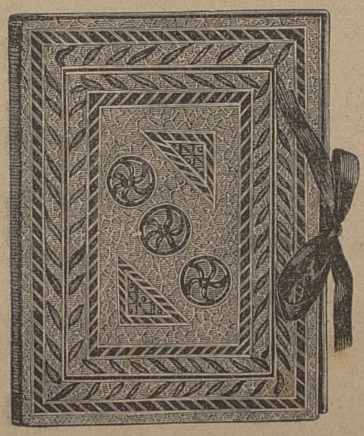
Na podszewce do staniczka z przodu 24, z tyłu 35 cent. długiej, materyał zwierzchni na przodach zakłada się w ośm fałdek po 1 centym. szerokich, schodzących się do środka przodu, u dołu zaś kraje o 14 cent. dłużej i podwija w bufę. Plecy wycięte są u dołu w patki po 7 cent. długie a 5 cent. szerokie. Spódniczka 180 cent. szeroka, 17 cent. długa, marszczy się w górze i przyszywa do podszewki stanika, z tyłu zaś pod patkami pleców złożona jest w trzy kontrafałdy po 10 cent. szerokie; na przedziałach gładkich naszyte plisy aksamitne po 6 cent. szerokie. Kokardy z wstążki ottoman 4 cent. szerokiej; wykrój staniczka pod szyją ogarnirowany koronką 8 cent. szeroką, podszytą od spodu i wywiniętą. Sukieneczka z jasno popielatego beżu przybrana była ponsowym aksamitem i wstążką.



N. 1. Ubranie dla chłopca lat 4—6. N. 2. Sukieneczka dla dziewczynki lat 5—7. N. 3. Sukienka z bluzką dla panienki lat 6—8. N. 4. Sukienka z paletocikiem dla panienki lat 7—9. N. 5. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.



N. 6. Parasolik z laską rzeźbioną.
N. 7. Parasolik en-tout-cas z porcelanową rączką.
N. 8, Parasolik en-tout-cas z laską zdobną malowaniem.
N. 9. Parasolik z rzeźbioną laską.
N. 10. Wachlarz z malowaniem.



N. 11. Teka do fotografii.

N. 6. Parasolik z rzeźbioną laską.

Laska parasolika do spacerowego ubrania, ma 1 metr długości, pokrycie zaś tylko 52 cent. długie, dane z ponsowego atłasu ze szlakiem granatowym 3 cent. szerokim. Dolna część laski 38 cent. długa, ozdobiona rzeźbą w guście japońskim, zakończona na srebrnem okuciem 5 cent. szerokiem. Ponsowy sznur jedwabny zakończony kulkami szmuklerskiemi.

N. 7. Parasolik en-tout-cas, z porcelanową rączką.

Parasolik ze złoconemi pręcikami, pokryty granatową materyą, ma laskę z ciemnej trzciny, zakończoną porcelanową rączką z emaljowanem malowaniem.

N. 8. Parasolik en-tout cas, z rączką malowaną.

Całość laski liczy 84 cent., rączka zaś jest 32 cent. długa, wyrobiona z drzewa ciemno pomalowanego, na którem jasny deseń jest jakby piórem narysowany. Pokrycie z czerwonawo-



N. 12. Ubranie domowe z długą draperyą.

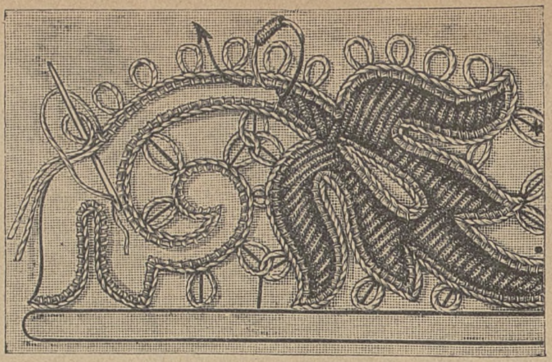


N. 13. Ubranie wizytowe z szarfą. Patrz ryc. 10 w N-rze 20.

bronzowego atłasu; na rączce przewiązany bronzowy sznur jedwabny z pomponami. Futerał uszyty z tejże materyi co pokrycie, zakończony w górze okuciem.

N. 9. Parasolik z rzeźbioną rączką.

Odpowiedni do lekkiej żałoby, pokryty jest materyą jedwabną w kratkę białą, z czarnem; rączka 26 cent. długa, z wiśniowego drzewa rzeźbiona w kształt łepka sowiego.



N. 14. Wykonanie haftu stalą, do ryc. 30—31 w N-rze 20.

skośnie do 120 cent. szerokości dolnej i kawałka liczącego w kwadrat 95 cent. złożonego w podwójny trójkąt, który dodaje się do brzegu skośnego. Zwierzchnie upięcie wymaga podwójnego bryta 115 cent. szerokiego, którego dolny brzeg jest podłożony i wraz z górnym sfałdowany i wszyty w pasek. Tylna draperya składa się z dwóch po 110 długich brytów, w których szlak brzeżny odcięty od wewnętrznego brzega, podszyty jest przy drugim brycie. Przy staniku kamizelka, kołnierzyk stojący i 12 cent. szerokie naszycia między fałdami karoczka dane z granatowego aksamitu.



N. 15. Uczesanie „Catogan.“

N. 10. Wachlarz zdobny malowaniem.

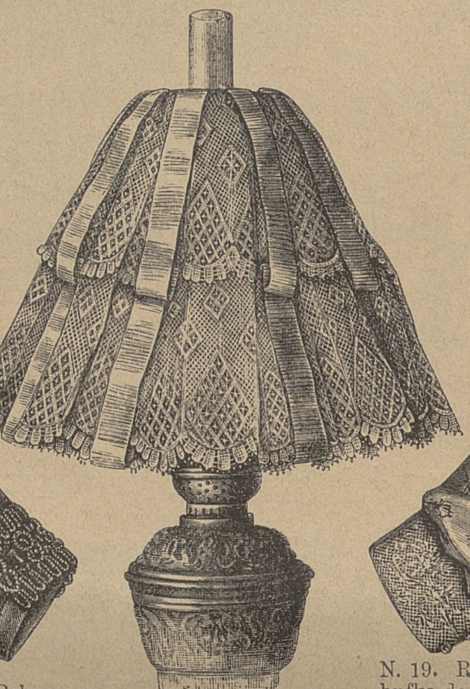
Odrobiony z drzewa w drobny słój, nakładanego srebrem, oklejony ciemno bronzowym atłasem, malowanym blademi kolorami.

N. 13 i 19. Suknia wizytowa z szarfą. Patrz ryc. 10 w N-rze 20.

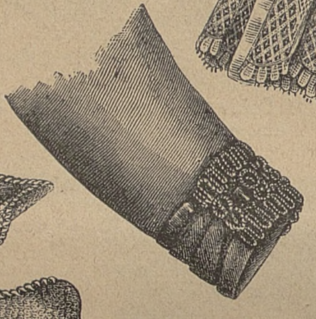
Ryc. 13 w dzisiejszym i ryc. 10 w N-rze 20 Tyg. Mód przedstawia przód i plecy sukni wizytowej z atłasu poziomkowego koloru, przybranej przez całą długość tylnego bryta i z lewego boku aż do 25 cent. poniżej paska, falbanami z koronki 13 cent. szerokiej, z których najniższa dana w około sukni. Na draperyę z lewego boku zebraną wysoko, dalej zaś długo spuszczoną potrzeba czterech i pół bryta fularu w rzucik, po 67 cent. szerokości. Po zszyciu brytów górny ich brzeg fałduje się lub marszczy i wszywa w pasek od sukni, prawy bok draperyi spuszcza aż do dołu, lewy podpina do 26 centym. wysokości i obydwa wpuszcza w tylne szwy sukni; dolny brzeg draperyi jak to wskazuje ryc. 13 i ryc. 10 podwinięty i niewidocznemi ściegami przyczepiony na sukni, przytrzymuje brzegi falban koronkowych. Szarfa z repsowej wstążki 28 cent. szerokiej. Odpowiednio do namarszczonych przodów stanika na rękawach dana bufka, wskazana na ryc. 19; ażeby ją otrzymać kraje się rękaw u dołu o 20 cent. dłużej i o kilka cent. szerzej, niż potrzeba na zwykłą formę; dłu-



N. 16. Uczesanie z lokami.



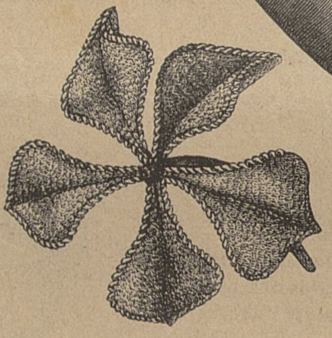
N. 17. Przykrycie koronkowe na lampę.



N. 18. Rękaw zdobny torsadą. Patrz ryc. 23.



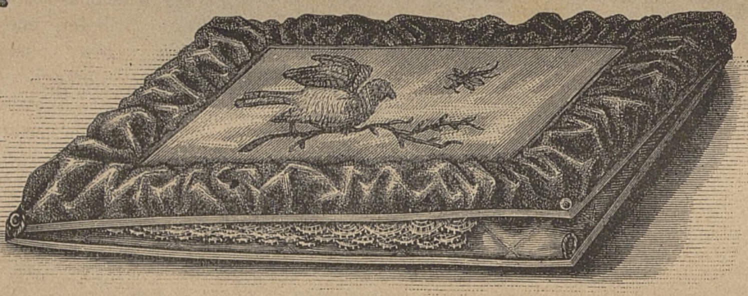
N. 19. Rękaw z bufką do sukni ryc. 13.



N. 20. Kwiatek z drucika złotego, do ryc. 40.



N. 21. Listek do r. 20.



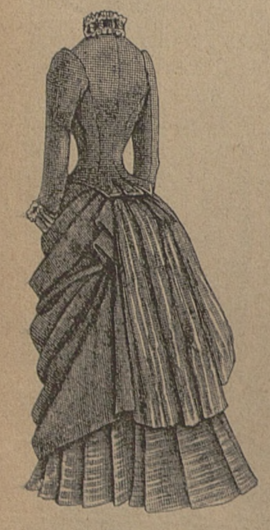
N. 22. Teka (sachet) na chusteczki do nosa.

N. 11. Teka na fotografie. Deseń malowania patrz na arkuszu z krojami do N rów 18 i 19, fig. 47.

Składa się z dwóch deseczek po 25 cent. szerokich, 31 wysokich pokrytych atłasem vieil-or i ozdobionych malowaniem złotem i olejnemi farbami, do którego deseń daliśmy na poprzednim arkuszu z krojami pod fig. 47. Obie połowy teki łączy grzbiet atłasowy; wewnątrz dodane są kieszonki z tegoż atłasu. Do wiązania służą plecionki jedwabne.

N. 12. Ubranie domowe z długą draperyą.

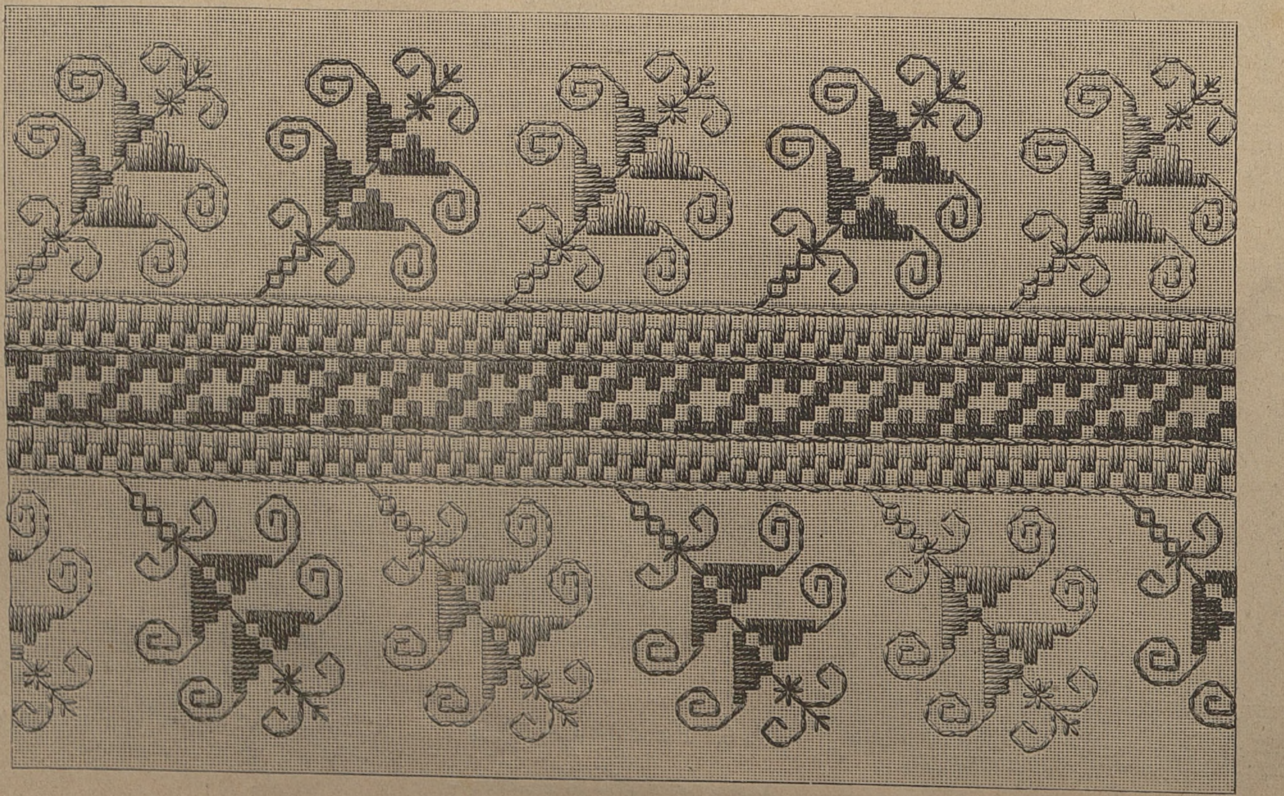
Ryc. 12 przedstawia suknię odrobioną z materyału wełnianego żółtawo piaskowego, z kolorowemi szlakami, 110 cent. szerokiego; o ile spódnica jest widoczną, pokrywa ją wolant plisowany, zakończony szlakiem u dołu. Draperya przednia wymaga na spodnią część bryta 150 cent. szerokiego, z jednego boku ściętego



N. 23. Plecy do ryc. 35 w N-rze 20.



N. 24. Przody do ryc. 23 w N-rze 20.



N. 25. Szlak ściegiem gobelinowym i stębnowanym.

gość przymarszcza na wewnętrznym szwie a szerokość u ręki i wszywa w pasek 8 cent. szeroki, przykryty koronką.

N. 17. Przykrycie koronkowe na lampę.

Ułożone z dwóch rzędów koronki 14 cent. szerokiej na podstawie z drutu przykrytego

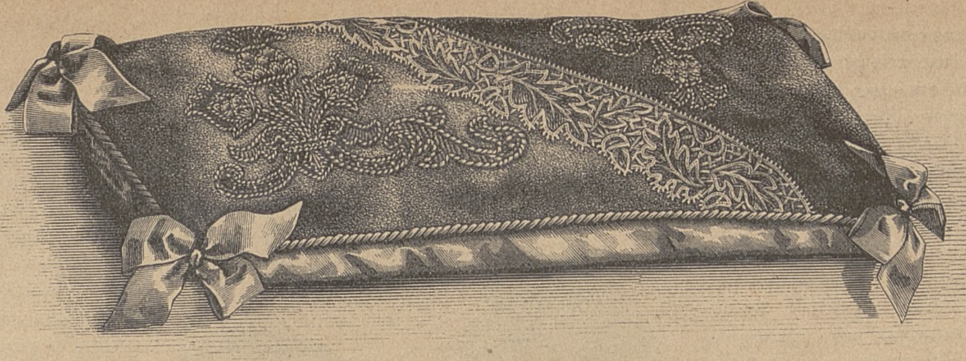


N. 27. Czapeczka słomkowa dla chłopczyka.

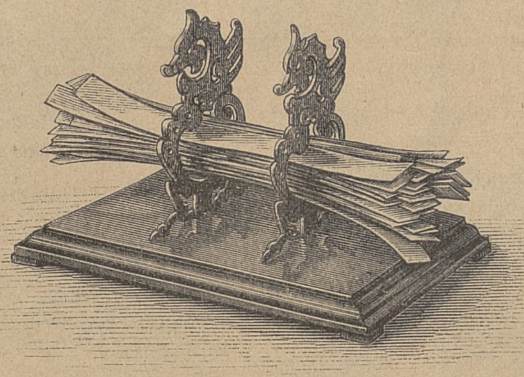
kolorową wstążką 2 cent. szeroką; oba rzędy zszywa się z sobą, układa w kontrafałdy i łączy niewidocznie brzegi. W odstępach między fałdami dane pukle z wstążki.

N. 22. Teka na chusteczki do nosa (Sachet).

Składa się z dwóch kawałków atłasu po 40 cent. długich, po 30 szerokich, podłożonych podszewką jedwabną, przepikowaną na wacie pachnącej. Haft zdobiący zwierzchnią stronę, może być odrobiony jedwabiem sciegiem płaskim, sznelą lub



N. 26. Poduszka na kuferek. Patrz ryc. 33.



N. 28. Postumencik do fidibusów, obsadek i t. p. Patrz ryc. 29.

złotem, podług wzorów jakie dajemy w Tyg. Mód. W około brzegów dana bufa pluszowa, 8 cent. szeroka.

N. 25. Szlak. Haft gobelinowy i ścieg stębnowany.

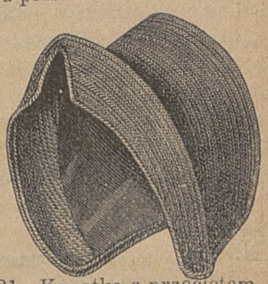
Odrobiony na grubem płótnie bawełną bronzową i niebieską, na nitkach wyliczanych podług deseniu; trzy nitki liczą się na jeden ścieg; najdłuższe ściegi gobelinowe zajmują 9 nitek na wysokość, a rozdzielane są między sobą tylko jedną nitką tła.

N. 26 i 33. Poduszka na kuferek.

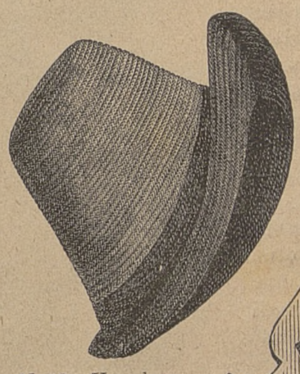
Przeznaczona do przykrycia kuferka stojącego w pokoju, liczy 64 cent. długości, a 34 szerokości; zwierzchnią stronę zajmują dwa nieforemne trojkąty, z których mniejszy jest z pluszu koloru pawiego, większy w górze 22, u dołu 51 cent. długi z oliwkowego. Na zszyciu dana koronka niciana 12 cent. szeroka, wywodzona złotem, bronzową sznelką i kolorowym jedwabiem. Ryc. 33 przedstawia w naturalnej wielkości trochę niedokonczony deseń haftu, zdobiącego większy trójkąt; jak widzimy na ryc. 26 jedna dolna arabeska krótsza jest od drugiej, na mniejszym trójkącie mieści się tylko figura środkowa. Do haftu użyty kordonek jasno niebieski i oliwkowy, sznela oliwkowa w dwóch cieniach i świecący sznureczek skręcany z nitką metalową, którym odznaczone są kontury. Środki figur zapełniane są filozelą kolorową, przeszytą z wierzchu nitką złotą, zastosowanie szneli odbija się dokładnie na tle ryc. 33.



N. 30. Fasonik okrągły słomkowy z płaskiem rondkiem.



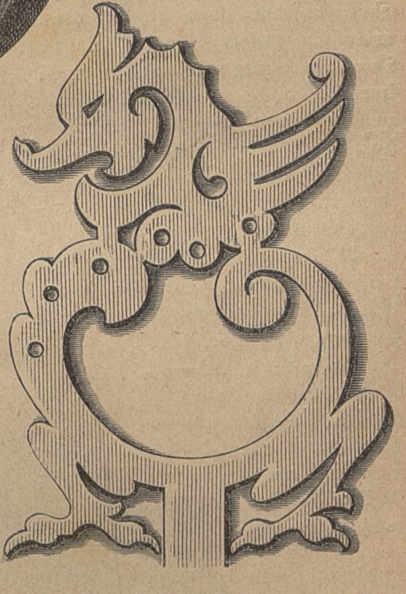
N. 31. Kapotka z przeciętem dyademowem rondkiem.



N. 32. Kapelusz okrągły z wysoko odwiniętem rondkiem.

N. 27. Czapeczka dla chłopczyka.

Pleciona zesłomki czarnej i białej, ma daszek ceratowy obszyty skórką; brzegi główki ostębnowane paskiem czarnej ceraty objętym skórką. Opasanie z aksamitki czarnej 3 centymetry szerokiej.



N. 29. Gryf mosiężny do postumentu, ryc. 28.

N. 34. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 25 w N-rze 20.

Suknia z długą draperyą przedstawiona na ryc. 25 w N-rze 20 odrobiona jest z granatowej alpagi i przybrana deseniowym bronzowym



N. 33. Deseń haftu sznelą i jedwabiami do ryc. 26.



N. 36. Kapotka z wysokiem rondkiem.

aksamitem. Spódnicę zakończa drobne plisowanie; draperya składa się z dwóch brytów przednich, z których prawy 150 cent. długi a 65 cent. szeroki, lewy zaś 165 cent. długi a 90 szeroki. Obydwa bryty z brzegów tylnych w górze są sfałdowane ściśle, a niżej na 94 cent. wzdłuż zostają gładkie, fałdy wpuszczone są w tylne szwy spódnicy. Bryt tylny 109 cent. długi, 132 szeroki, u góry sfałdowany i wszyty w pasek od sukni (równie jak bryty przednie z zaszewkami na biodrach) tylko z lewej strony podpięty jest w górę i przyczepiony w odstępie 10 cent. od paska. Przody i boki stanika dopełnione są aksamitną bas-



Ubrania wizytowe.

N. 34. Suknia z długą draperyą. N. 35. Suknia z chusteczkowem przybraniem.

kiną 10 cent. szeroką, plecy zaś krają się w całej długości. Na ryc. 34 widzimy że prawa połowa przodu zachodząca pod spód, ma plastron fałdowany w zakładki, u góry 15 cent. szeroki, u dołu zwężający się szpiczasto; do lewej połowy przyszyty ranwers aksamitny, u góry 12 cent. szeroki, do dołu ścięty wąziutko. Na baskinie przyszyte klamry metalowe.

N. 35. Suknia wizytowa z chusteczkowem przybraniem.

Na chusteczkę potrzeba dwóch skośnych kawałków po 37 cent. szerokich, 47 cent. długich, u dołu i wzdłuż jednego brzegu oszytych koronką 10 cent. szeroką. Z tyłu na środku oba skosy łączą się pod kokardą z wstążki. Ryc. 35 wskazuje dalszy układ; obie części w odstępie 30 cent. od środka są sfałdowane do 6 cent. szerokości i spięte z sobą dwoma kokardami; trzecia mniejsza kokarda związana jest u dołu z kawałka wstążki 40 cent. długiego.

N. 36—40 i 30—32. Kapelusze letnie.

N. 36. Kapotka z wysoko odwiniętem rondkiem.

Przy szpiczastej główce 15 c.



N. 38. Kapotka z tiulową główką. Patrz ryc. 39.

wysokiej, dodane rondko najpierw przystające gładko, dalej z brzegów wywinięte i pokryte czarnym aksamitem. Z wierzchu główki spadają dwa pukle po 17 c. długie z aksamitnego skosu 15 cent. szerokiego, przy nich zaś dodane dłuższe pukle z torsady złotej 5 cent. szerokiej, przerabianej w czarne aksamitne muszki. Bukiecik z zielonych liści, pączków różanych i trawy ze złotemi perełkami.

N. 73. Kapelusz okrągły przybrany gazowym szalikiem.

Fason z czerwonawo bronzowej, cieniutkiej słomki, ma główkę z przodu 13, z tyłu 15 cent. wysoką, rondko zaś z przodu 7 cent. szerokie, zwęża się z tyłu do 1 cent. i pokryte jest piaskowym aksamitem. Do przybrania użyty szalik 118 cent. długi, z gazy w paski piaskowe i bronzowe przerabiane z atłasowemi granatowemi, tudzież pletnia złota przeplatana słomką. Układ kokardy i przepięcie węzła danego wierzchem rondka wskazuje ryc. 37,



N. 37. Kapelusz okrągły przybrany szalikiem.

główkę opasuje pletnia, z której dane pukle 6 i 12 cent. długie.

N. 38—39. Kapotka z tiulową główką.

Rondko fasonika ze sztywnego tiulu, z przodu i z tyłu dyademowo podniesione, pokryte jest wiśniowym aksamitem; zamiast główki dany środkiem pasek łączący z sobą przednią i tylną połowę rondka. Wysoko odstająca główka, układa się z podwójnie wziętego tiulu czarnego w muszki dżetowe. Rondko przednie liczy w środku 11 c., w końcach po 2 c. wysokości, 52 c. długości w górnym, 37 c. w dolnym brzegu; tylna połowa rondka zaszyta jest środkiem w ząb i liczy w środku 6 i pół c. szerokości, u góry 42, u dołu 28 c. długości. Końce do wiązania dane z ponsowej aksamitki. Gałązka bzu, róża, trawki złoconei kitka z rajskich piórek przypięta podług r. 39.

N. 40. Kapelusz okrągły z kwiatami filigranowemi. Patrz ryciny 20—21.

Fason z zielonej słomki ma główkę 12 c. wysoką a rondo wywinięte z tyłu na 5 cent., z przodu na 3 centym. szeroko. Zielony aksamit pokrywający rondko nie dochodzi o dwie słomki do brzegu; skos aksamitny 9 cent. szeroki opasuje głowkę i służy na kokardę, przepiętą gałązką filigranowych kwiatow. Ryc. 20—21 przedstawia kwiatek i pojedyńczy listek robotą filigranową ze złotego spiralnego druciku.



N. 39. Kapotka z tiulową główką. Patrz ryc. 38.



N. 40. Kapelusz okrągły zdobny filigranowemi kwiatami. Patrz ryc. 20.